

Nr. 34. Poznań, dnia 23 Sierpnia 1879. Rok II.

ZAMEK WILCZKI.

Przez

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Wskroś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia
Zajmuje dzieło ludzi w imie przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami: „Ruina.“

Mickiewicz.

W dawnéj ziemi Halickiéj, tak płodnéj w piękne położenia, jest wieś Złotniki, gniazdo rodziny Złotnickich. Niedaleko od niéj na drugim brzegu Strypy przy Złotnikach płynącéj, wznosi się zamek Wilczki, niegdyś obronny, a teraz rozpadły w gruzy, świadczące jeszcze o potędze i dostatkach jego dawnych właścicieli. Otaczają go dokoła na nizinie wybudowane chaty wsi Sokolema zwanéj, i z daleka patrzącemu wydaje się, jak gdyby Złotniki jednę z nią składały całość. Rzadko trafia się w téj nadobnéj krainie tak zachwycające ujrzyć położenie, choć ona jest nieprzerwanym ciągiem pięknych widoków i obrazów strojnych w hojne dary przyrodzenia.

Przy blasku zachodzącego słońca, po letnim upale, najlepiéj wydaje się okolica, w któréj leżą Złotniki i Sokolema. Wzgórza okryte murawą i krzakami wabią oko wszędzie coś nowego napotykające. Strumyki z pod ich stóp wytryskujące, szemrząc po dolinie, czołgają się powoli aż do Strypy, która płynąc wśród jednéj i drugiéj wsi, odbija w swoich wodach i chaty Złotnik i na pół rozpadłe wieże Wilczków. — Drzewa owocowe zielenią się po ogrodach włościańskich, oddzielonych od siebie żywemi płotami z wierzby, do których mięszają się ziela polne i kwiaty krasnéj barwy. — Rozłożyste lipy i cieniste buki rosną po brzegach Strypy, gdzie niegdzie błądzącém przecinanéj czołnem. Skały i góry mięszają się zdala z lasami różnéj farby.

Od wzgórza, na którem stoją rozwaliny zamku, ciągnie się starożytna ulica wysadzona lipami, dochodząca aż do nie dalekiego lasu. Obok widać ostatki pięknego niegdyś ogrodu. Leżą tu i owdzie gruzy obmurowanego parkanu. Zarosłe ścieszki nie migają się już miałkim piaskiem. Chwast i oset zalegają miejsce, gdzie nieraz lekka piękności noga przesuwała się obok stopy zbrojnéj w ciężkie żelazo. —

Gaje od słowika opuszczone, służą puchaczom za schronienie, a pajęczyna obwija sklepienia z róż najpiękniéjszemi niegdyś jaśniejące farbami. — Staw wysechł na środku ogrodu a miejsce jego oznacza tylko rosnąca trzcina i gęsty szuwar. Zapuszczone szpalery rozrosły się szeroko. Mnóstwo dzikich ziół i krzewów zapełniło zostawione między gajami przerwy i ogród Wilczkowski codzień podobniéjszym się staje do otaczających go lasów. Jednę tylko ulicę, do zamku wiodącą, można jeszcze od pobocznéj rozróżnić murawy, bo dosyć często ciekawi gruzów Wilczkowskich po niéj się przechadzają. Sam zamek stoi na wzgórzu dosyć wyniesioném, a wieże jego, sądząc po szczątkach, dochodziły kiedyś znacznéj wysokości. — Był to budynek w szeroki czworogran ułożony i kilkoma obwarowany wały, po których dzisiaj wiją się pokrzywy i rosną głogi. Architektura jego nigdy nie była zupełnie gotycką, zbywało jéj albowiem na wysmukłości i lekkości znamionującéj dawne budowy południowych krajów. — Ozdoby Maurów Hiszpańskich lub seniorów średnich wieków nie wabiły tu oka, ale za to grube mury mogły długo się nieprzyjaciołom opierać. Strzelnice w nich wyrobione przepuszczały pociski broniących się odważnie. Wieże z basztami zdawały się ciężyć górze swoim ogromem, okna podługowate zajmowały całą długość ścian okrytych perskiemi kobiercami lub skórami dzikich zwierząt i zbrojami wojowników. — Sklepienia zaginały się nad głową mieszkańców i znać jeszcze na nich haki żelazne, na których wisiały lampy oświecające ciemne sale, gdzie nieraz brzmiała zbrojna stopa panów Wilczkowskich.

Teraźniejszy właściciel obrócił część zamku na mieszkanie rządzcy dóbr swoich, dach słomiany pokrywa część

gmachu. Druga zaś strona otwarta na burze i deszcze codzień bardziéj się rozpada i wali. Kamienie leżące na dziedzińcu nabrały czarnéj barwy. Znać po niektórych z nich wyrznięte róże nad hełmami, herb domu Wilczków.

Wchodzi się do części opuszczonéj zamku, ogromną sklepioną bramą, na któréj widać jeszcze posągi świętych, które dotąd uszły zniszczeniu burz i czasu. Długi korytarz prowadzi w obszerne komnaty, na których ścianach pozostały jeszcze poszarpane szczątki obiciów, które każdy wiatru powiew w poruszenie wprawia. Na posadzkach już pogniłych leżą ramy dawnych obrazów, a ich pozłota w czerwoną zamieniła się barwę.

Zwiedzając tę starożytną dzielnéj rodziny siedzibę, czułem cały wpływ, jaki pozostałe szczątki uszłych wieków wywierają na żyjącego w teraźniejszych. Przechodziłem w milczeniu pokoje i galerye często przerywane usunięciem się muru, lub nawalonemi gruzami. Zwiedziłem wszystkie zakątki i przejścia. Nareszcie doszedłem do małéj komnaty, sklepieniem jeszcze nieprzerwaném, obronionéj od deszczu i zawiei.

Zdziwił mnie niezmiernie ogromny obraz wiszący na ścianie, bo jeszcze żywych jego farb czas zatrzeć nie zdołał, pilnie mu się przypatrywałem. Pędzel, który go skreślił, nie miał zapewne delikatności dzisiejszym utworom właściwéj, lecz uważałem, że umiał oddać z uderzającą prawdą uczucia, odbijające się na twarzy osób obraz składających. Wystawiał on biesiadę, lecz w chwili, w któréj toasty i brzęk puharów przerwało jakieś nadzwyczajne zdarzenie. Na pierwszém miejscu siedziała niewiasta młoda jeszcze z smutkiem głębokim i w weselnych szatach. Obok niéj stał mężczyzna czarniawego lica, i okropne wejrzenia ciskał na pielgrzyma, który wyciągając ręce ku młodzieńcowi, z drugiéj strony stołu siedzącemu, zdawał się omdlewać i opadać na siłach. Sztuka malarza najbardziéj wysiliła się w oddaniu rysów téj ostatniéj osoby. Surowość i duma panowały na jéj wzniosłém czole; w oczach przyćmionych wyrażała się czułość. Blade lica, gdzieniegdzie sinością pokryte, zgon bliski oznaczały, a kiedym się bliżéj przypatrzył, ujrzałem kilka kropel krwi, spadających ze zbrojnych piersi nieco odsłonionych w tém miejscu. Zresztą szata pielgrzyma pokrywała konającego, nad którego głową wyczytałem gotyckiemi literami napisane imie: „Starosta.“ W głębi obrazu stało wiele innych osób bogato ubranych, a na twarzach ich malował się przestrach i przerażenie; dało mi to wiele do myślenia. Tego samego wieczora zaspokoił moję ciekawość rządzca mieszkający po drugiéj stronie zamku, opowiadając zdarzenie tkwiące w żywéj pamięci mieszkańców Sokolema. Tę powieść jakem słyszał, teraz nawzajem opowiem tym, którym nie brakuje na cierpliwości wysłuchania jéj aż do końca.

STAROSTA HENRYK WILCZEK.

I.

Oczy jéj z nieśmiałością wznosząc się od ziemi.
Oczy zalane łzami, spotkały się z mojémi.

Starożytna rodzina Wilczków, herbu Poraj, w niejednéj potrzebie zasłużyła się Rzeczypospolitéj rycerskiemi czynami. Henryk Wilczek, o którym mamy tu mówić, był synem Marcina, sędziego ziemi Halickiéj. Od młodych lat ku usłudze ojczyzny sposobiąc się, w niejednéj walce odniósł zwycięztwo, w niejednéj bitwie dzielnie się odznaczył. Wysłany od ojca za granicę, zwiedził dwory Hiszpanii i Francyi. Był we Włoszech i w Niemczech, a wszędzie utrzymując godnie sławę polskiego imienia, w wielu gonitwach i turniejach pierwsze odniósł wieńce i zdobył nagrody. Za powrotem do kraju zastał już trumnę rodzica w grobie ojców złożoną, obok dawno zmarłéj matki. Zatém objął zamek przodków i znaczne dobra, lecz przyszło mu często je opuszczać dla wojen prowadzonych przez cały ciąg panowania Zygmunta III. Służąc pod Żółkiewskim, przyłożył się do wielu wygranych. Moskwy zdobycie nie obyło się bez jego szabli; z Turkami po wielekroć się potykał, aż nareście krótka chwila pokoju dozwoliła mu wrócić do ojców mieszkania. Liczył wtenczas Starosta Henryk Wilczek lat trzydzieści, a pięknością rysów i ułożeniem przechodził wielu młodszych od siebie. Siła w tylu trudach nabyta, po całem rozlała się ciele. Wzrost wysoki, połączony z powagą, znamionował go wszędzie, odwaga mało równych licząca, odbijała się w sokolém czarnych oczów spojrzeniu, a znamie surowości, połączonéj z godnością dodawało powabu do męzkiéj urody; uprzejmy dla innych, nikogo nigdy obelgą nie dotknął, lecz ten, który go obraził, darmoby szukał przebaczenia winy; krwią musiał ją przypłacić, a mściwy oręż Henryka nmiał sobie zawsze utorować drogę do serca nieprzyjaciela ojczyzny lub osobistego wroga. Namiętności Wilczka wybuchały z żywością, kiedy iskra pożar wiecznie tlejący w sercu zapaliła. Zresztą najgrzeczniéjszym i najhojniejszym był z ludzi. — Niemałych nazbierał wiadomości podczas swoich podróży, a w rozmowie umiał łączyć i godzić lekki dowcip południa z surowszą powagą północy.

Takim był Henryk Wilczek, kiedy poznał Jadwigę, córkę Jana ze Złotnik, obok jego zamku za Strypą mieszkającego. Nienapróżno spojrzenia starosty spotkały jéj błękitne oczy i wkrótce potem siedemnastoletnia dziewica weszła w progi Wilczkowskiego zamku. Stary Złotnicki niezmiernie się uradował z tego połączenia, do czego i dary któremi obsypał go starosta, wielce się przyłożyły. Nie był on jednak chciwym ani skąpym, ale lubił wszystkie próżniackiego życia wygody i postanowiwszy sobie spocząć po trudach, postanowił zarazem niczego sobie nie odmawiać. Żył więc z kielichem w ręku, przy wesołych biesiadach, w gronie hucznych przyjaciół. W pięknym drewnianym domu w Złotnikach pędził dni pośród zabaw i wygód, na których wymyślanie tracił czas pozostający mu od stołu i szklanki. Pomimo tego Złotnicki dziarskim był kiedyś rycerzem, a serce jego było szlachetnych uczuć siedliskiem. Jadwiga przejęła je rodzinnym spadkiem, i one to połączone z rzadką urodą, zwabiły ku niéj serce Henryka.

Używając pierwszych chwil szczęścia po ślubie, stracił Wilczek na czas jakiś pamięć o wszystkiém inném. Oczy Jadwigi były jego uczuć, kroków i całego życia skazówką; lecz właśnie, kiedy jeszcze oko niemowlęcia dobrze ojca rozeznać nie mogło, trąba wojny odbiła się o Wilczkowskie wieże i ich pan musiał uścisnąwszy żonę pobiedz na boje z Turkami. Rzucił się na rumaka Wilczek i starał się zagłuszyć szczękiem oręża. Pod Chocimem wtenczas walczyli Polacy, a Chodkiewicz jeszcze z łoża śmierci zwycięztwami kierował.

We łzach tonąca Jadwiga odebrała dwa listy od męża wkrótce po jego odjeździe, lecz potém i téj już nie miała

pociechy. Daremnie wypytywała się ciągle o niego, nikt podczas wrzącéj wojny nie mógł jéj dać o nim wiadomości. Błagała Boga o jego ocalenie, ale coraz cięższy smutek zalegał jéj serce. Nareszcie skończyła się wojna, ale Starosty nie ujrzano wracającego w podwoje naddziadów; uszedł miesiąc a jeszcze nie przybył. Wtenczas rozpacz już ogarnęła duszę Jadwigi, i nieutulona w żalach, przebiega zamkowe komnaty we łzach i westchnieniach, choć jéj ojciec pijąc małmazyę powtarzał:

Nic mu nie będzie — wróci zdrów jak ryba — „A może jego kości bieleją na polach chocimskich — a może już jego prochy wiatry rozwiały“ — i nowemi jękami napełniała powietrze. Jedyną jéj pociechą był syn małoletni; starała się w dziecinnych rysach upatrywać podobieństwo do męża, a kiedy jéj wyobraźnia zbliżyła rysy męzkie Henryka z miękkiemi i mdłemi jeszcze małego Zbigniewa, czuła na chwilę radość podobną do błyskawicy, oświecającéj niknącym blaskiem drogę błądzącego wśród pustyni wędrowca. Rok mijał, a zamek Wilczkowski był jeszcze bez pana. Wojownicy, którzy ocaleli w bojach z poganami, mówili, że aż do ostatniéj bitwy widzieli Wilczka siejącego postrach wśród tureckich szeregów; lecz późniéj stracili go z oczu i nikt nie mógł wiedzieć, gdzie się podział. Promyk nadziei, rzadko nieszczęśliwych opuszczający, przebijał się jeszcze czasem wśród trosk Jadwigi, jak przemijające światło zimowego poranka.

Zajęła się wychowaniem syna troskliwa matka i z pociechą dla niéj wzrastał mały Zbigniew. Zamek Wilczkowski, dawniéj wesela i przepychu siedziba, stracił całą okazałość. Rzadko goście zawitali do niego, bo mało jest ludzi lubiących koić troski lub łzy nieszczęścia podzielać.

Młody Wiesław z Podhorynia, dawny Starosty przyjaciel, jeden tylko Jadwigę odwiedzał; wspominać z nim lubiła o milszych, dawno utraconych już chwilach, a czasem ucieszył ją Wiesław nadziejami powrotu męża, nadziejami, którym sam nie ufał, i w rzeczy saméj zdawało się, że los tajemniczy i okropny, rozciągnął wieczną zasłonę nad przeznaczeniem Henryka. Żadnéj wieści o nim powziąć nie można było, i niepewność coraz bardziéj zbliżała się do okropnéj pewności.

Pan Złotnik rzadko widywał córkę, choć tak blisko od niéj mieszkał. Nie lubiła Jadwiga z sercem rozpaczą rozdartém odwiedzać mieszkania wesołości, a biesiady codzienne u starego Jana powtarzane, nieprzystojném nawet były miejscem dla młodéj kobiety.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skutki wojny wschodniéj
szczególniéj jak się przedstawiają
ze względu na Słowiańszczyznę.

(Ciąg dalszy.)

2. W ogóle *Austrya większe odniosła korzyści z wojny wschodniéj, niż którekolwiek państwo,* prócz jednej Bułgaryi, która jéj swoję egzystencyę zawdzięcza, a te korzyści będą się z czasem, coraz więcéj uwydatniać i powiększać.

Polegają one zaś nie tylko na powiększeniu posiadłości, zaokrągleniu i zabezpieczeniu przez to granic, ale na pozyskaniu podstaw do rozszerzenia o wiele swego wpływu i swéj potęgi na zewnątrz, i co nie mniéj ważna, do skonsolidowania swych wewnętrznych stosunków. Nigdy nie pokazało się jaskrawiéj, jak podczas i w obec wypadków ostatniéj wojny wschodniéj, że we wszystkich kwestyach żywotnych Austrya głównie, jeżeli nie jedynie, na ludność słowiańską liczyć i na niéj się oprzeć może i że wszystkie instytucye Austro-Węgier, o ile są obliczone na to, ażeby zapewnić z krzywdą Słowian, stanowiących większość ludności tamtejszéj, przewagę innym ludom, będącym w mniejszości, mianowicie Niemcom i Madziarom, o tyle są szkodliwe i niebezpieczne państwu jak np. niesprawiedliwe prawa wyborcze, dualizm itp.

Dwór więc i władza reprezentująca ideę państwową, bez względu na swe tradycye i sympatye dla Niemców, nie może się opierać dobijaniu się Słowian o prawa i wpływ im przynależny, o naprawę instytucyi niemniéj im jak państwu korzystną. Naturalną i jednomyślnie wypowiadaną dążnością wszystkich ludów słowiańskich Austryi i każdego pojedyńczo, jest pozyskanie zupełnego równouprawnienia z Niemcami i Madziarami i z jednej strony, zdobycie jak najrozleglejszéj autonomii dla każdego ludu i kraju historycznego a z drugiéj utworzenie jak najsilniejszej władzy dla instytucyi wspólnych, jakimi są delegacye i ministeryum wspólne.

Skoro Austrya stanowczo wypartą została z Włoch i Niemiec bez widoków i nadziei odzyskania tam kiedykolwiek znów posiadłości i wpływów a kiedy pozyskała takowe na wschodzie przez zajęcie Bośnii i Hercogowiny, — to ażeby je rozszerzyć, jasną, naturalną i konieczną jest rzeczą, że musi popierać program ludów słowiańskich. I może to uczynić z wielką łatwością. Co się tyczy równouprawnienia języków rozmaitych ludów austryackich w szkole, sądzie i administracyi, to takowe jest prawnie przez konstytucyą zastrzeżone i potrzebuje tylko przez rząd w praktyce ściśléj i sumienniej być wykonywane i zastosowane.

Dualizm czyli niebezpieczne rozdwajanie państwa w całem tego słowa znaczeniu może teraz dwór i rząd wspólny przez to z łatwością usunąć, że utworzy *obok Cis- i Translitawii trzecią równouprawnioną grupę z Bośni, Hercogowiny i Dalmacyi.* Potem dopiero będzie się można i należało o to starać, ażeby delegaci wszystkich trzech grup razem obradowali, jedno ciało parlamentarne tworzyli i wszystkie kwestye większością głosów delegatów wszystkich trzech grup rozstrzygali.

Pod względem autonomii, to ta, jaką posiada dziś *Galicya,* z małemi modyfikacyami, wystarczy jéj tymczasem, byle została konstytucyjnie zapewnioną. Nadanie takiéj autonomii Czechom, również by ich na teraz zadowoliło, byle cesarz odbył koronacyą jako król czeski i uznał prawa korony czeskiéj. Jednakże kraje korony czeskiéj tj. *Czechy,* Morawia i Śląźk (czeski) powinny dążyć ku temu, ażeby pozyskać z czasem taką samą autonomią, takie same prawa, jakie przysługują *królestwu węgierskiemu.* Również i Galicya w połączeniu z Bukowiną i Śląźkiem polskim o takie prawa upominać się powinna. Nie mniéj wszystkie kraje przeważnie przez ludność *południowo-słowiańską* zamieszkałe, winny potęgować swe starania o połączenie w jedno ciało polityczne (z Bośnią i Hercegowiną) ze wspólnym sejmem i samodziel-

ném ministerstwem na czele. Resztę krajów cislitawskich, składających się z arcyksięstwa austryackiego, powyżéj i poniżéj Eniży, z Tyrolu i niemieckiéj czyli północnéj Styryi reprezentowałby dzisiejszy reichsrath, z któregoby się reprezentanci innych prowincyi usunęli, a dzisiejsze ministerstwo cislitawskie ograniczałoby swe rządy na samą tylko *czysto niemiecką część Austryi.*

Ku takiemu przeobrażeniu pchają Austryą wypadki, stosunki i dążności ludów słowiańskich, tworzących większość ludności Austro-Węgier, powiększonéj i wzmocnionéj znacznie przez nowe nabytki. Popiera ich w tym względzie nawet znaczna część Niemców austryackich, którzy w ogóle życzą sobie utrzymania a nie rozbicia Austryi. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Austrya w powyżéj wskazany sposób ukonstytuowana na podstawach naturalnych, historycznych, rzeczywistego równouprawnienia i autonomii, kierowana jednym wspólnym sejmem i ministerstwem jest w stanie, przy swych licznych źródłach bogactwa i wrodzonych zdolnościach swych ludów, zgotować tymże nadzwyczajny dobrobyt, zadowolenie i szczęście, a sama zająć silne i świetne stanowisko.

Takie mocarstwo federacyjne, rodzaj Szwajcaryi monarchicznej, zapewniające każdéj swojéj narodowości samodzielny rozwój i dobrobyt i zasłaniające ją swą potęgą od niebezpieczeństw grożących jej od państw sąsiednich, nie omieszkałoby wywierać znacznego wpływu i atrakcyi na sąsiednie pokrewne ludy, i drobne państwa. W takim razie *Rumunia* zagrożona wiecznie od strony Rosyi, już to przeprawami do Turcyi już to napadami i podbojem nie omieszkałaby zawrzeć konwencyi militarnéj z Austryą, oddając swe wojska pod naczelne jéj dowództwo w razie wojny w zamian za obowiązek bronienia całości i nietykalności Rumunii.

Serbia zaś i Czarnogóra otoczone obecnie prawie ze wszech stron posiadłościami Austro-Węgier będą się czuły spowodowane przystąpić do związku celnego z krajami tego państwa. Stanowiłoby to pierwszy i najważniejszy krok do połączenia księstw naddunajskich z resztą pokrewnej im ludności rumuńskiéj i południowo słowiańskiéj w Austryi do połączenia się z federacyą wschodnią, austryacką. Takowe nastąpi z pewnością, ale tylko wtedy, jeżeli ta federacya prawidłowo będzie przeprowadzona na podstawie rzeczywistego równouprawnienia i autonomii, jeżeli mianowicie ludność rumuńska i południowo-słowiańska Austro-Węgier pod żadnym względem nie będzie gorzéj postawiona od niemieckiéj i madziarskiéj.

W takim razie *Austrya zawierałaby oprócz części Polaków, Rusinów i Niemców, cztery całkowite narody: czeski, madziarski, rumuński, południowo słowiański czyli ilirski,* sięgałaby od gór rudych i olbrzymich i Karpat aż do Alp i Bałkanu, od morza adryatyckiego do czarnego, ponad Dunajem aż do ujść jego i stałaby się jednem z najpotężniejszych państw europejskich i prawdziwym przybytkiem i twierdzą wolności i pomyślności ludów. Taki stan rzeczy mogą z pewnością osiągnąć i osiągną z czasem przy pomocy innych ludów austryackich, słowiańskich a mianowicie i rumuńskich Polacy i Czesi, jeżeli się nawzajem porozumią i ręka w rękę z sobą pójdą z oględnością i umiarkowaniem, ale z decyzyą i z energią ku raz jasno wytkniętemu zmierzając i dążąc celowi. Oni śmiało pod tym względem powinni wziąć inicyatywę nie zadawalając się nadal rolą bierną. Nie ulega wątpliwości iż nasze wspólne losy rozstrzygną się w *pierwszym rzędzie w Austryi i przez Austryą.* Ma ona daleko większe znaczenie dla nas, jak dla Włoch Piemont.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Staszic w pochodach swoich po górach Karpackich.

(Ciąg dalszy.)

Powiedziałem, że góry Karpackie z wszystkich w Europie są najrozleglejsze, największą w niéj zajmują przestrzeń. Rozpatrzmy się w nich za przewodem Staszica po szczególe, a najprzód w ogóle pomówmy o nazwach tych pysznych, dziwacznych gór, o których mówi poeta, że zdaje się iż barki olbrzymów te niezmierne skały w gniewie jednę na drugą powyrzucały, że to bogów siedliska lub olbrzymów rodu. Szczególne tych gór podziały osobnemi są oznaczone nazwami.

Pasmo między Siedmiogrodem i Multanami, składają góry *Lipsockie i Fogarasze.* Pasmo, w którym Dunajec, Biała i Raba torują sobie koryta, nosi nazwę *Bieskid.* Wychodzące z nich do Moraw ramię przezwane *Bielawskiemi* góry. Inne gór tych odnogi i pasy ołowiu i srebra w górnych warstwach a w dolnych o sążni 24 a wedle jednych górników o 90 łokci.

O pół mili pod Rębowem zaczyna się *pas wielki płaszczyzny piasków.* Pas ten przeszło siedem mil szeroki ciągnie się aż po ujście Nidy, na długość minąwszy *Staszów* przechodzi Wisłę. Potem ciągnąc się między *Zaklikowem, Sieniawą, Tomaszowem i Rawą,* w okolicach Mostów przechodzi Bug i ginie w Wołyńskim Zalesiu.

„Ten wieki pas piaszczystego zamiecia, zdaje się być odnogą tych niezmiernych stepu piaszczysk, który od Olkusza, nieprzerwanie ciągnąc Podgórzem Sląska a wreście Brandenburgią i Pomeranią usypawszy, ginie w morzu."

Głównem zastanowienia miejscem jest w dalszym pochodzie Staszicowi *Wiślica.* Na tem miejscu do wspomnień Polakowi tak miłem, gdzie jeden wielki człowiek nieśmiertelny z naszych królów, Kaźmierz, dał narodowi na kilka wieków ów szczęśliwy ruch, którego kierunku dopókąd się trzymał, dopókąd szedł drogą wzrostu, mocy, sławy i szczęścia", na tem miejscu dziwna przemiana przyrody. Zaraz za Nidzicą na kilka mil wszerz i wdłuż nie zoczysz garści piasku. Wznosi się nowy ciąg pszenicorodnych glin, składających piękny, ładny i bogaty powiat *Boszowski.* W tych górach glinianych znajdują się często źródła, siarka cuchnące i mają one w sobie *siarkowaną sodę, magnezyą siarczaną, witryolėj.*

Kopalnie *Siarki* są przy wsi Czarnkowie. Z gór Boszowskich przez *Koniuszę* przeszedł Staszic w *Ojcowe Góry.*

„Tych wierzch robi rozległe i wyniosłe równiny. — — Wszędzie pola orne, a po nich wydobywają się gdzieniegdzie z ziemi, jakieś różnego kształtu ruiny. Zbliżywszy się do nich: są to podarte, połupane, wapiennych skał cypliska. Przy nich wszczynają się wielkie równiny. Wszedłem w jednę; z początku wązka, mało schobna. Im dalej, tem

zmiany więcéj, wkrótce zaczyna się rozszerzać, coraz głębiéj w ziemię zapuszczać i niespodzianie odkrywa się wielka i rzadka dolina. Właśnie gdyby w ziemi ukryta, na całą milę, coraz zmienna, coraz przyjemniejsza kraina. I ten ponik, co w początku ledwo sączył się po mału, co jeszcze nie chrzcony, bez nazwiska bieżał, tylko rólniczych osad imiona przywłaszczał, już i on ledwie dwie góry obiegł, tu bystry prąd mruczy, po opokach warczy a dobrze znane, w dawnéj naszych królów stolicy, przybrawszy sobie *Promnik* imię pieniąc się, hucząc rznie, rozwala skały a rumowiska ich starłszy mielizną, wynosi szumiąc do Wisły całą rzeką.... W okolicy widzisz tu małego kościołka wieże, tam stare Wielopolskich horodu szczyty Daleko, w ostatnim aż dole, głębokość nawet zraża oko, dostrzegasz *Ojcowe* zamcze.

Wszędzie i po jednym i po drugim téj schowanéj doliny liczu ciągną się prawie równe, rzędem sadowione rólników zagrody. Przy każdym sad pełen drzew owocu, pastewniki zielone, stebniki porządne, liczne pasącego bydła trzody i kości jakiegoś, od naszych różnego gatunku niedźwiedziów.

Wapienne skały Ojcowa łączą się z górami rozległych kopalin marmurów przy *Czernem, Dembniku, Pacławicach, Chęcinach.*

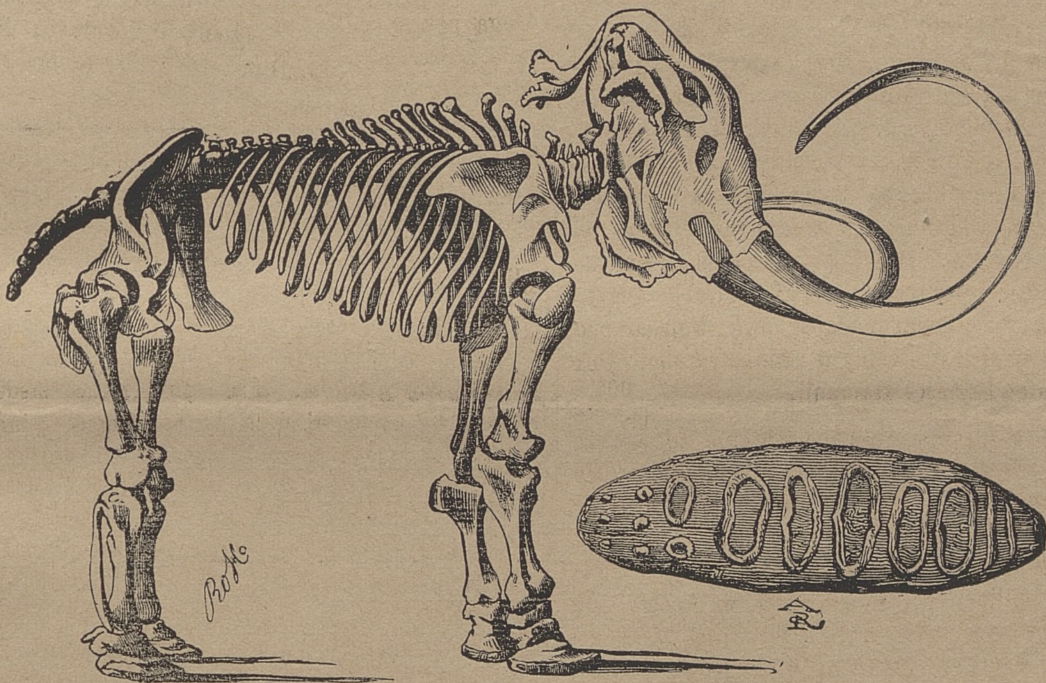
W kierunku od opok marmurów pod Czernem ku dolinie *Krzeszowskiéj* wszędzie tryskają wody siarczane i szeroko zalegają kopalnie węgle ziemnych.

Przy *Filipowicach* znajduje się w wielkich ławicach ił siarczany. Tam mogła być założoną z użytkiem fabryka ałunu.

W dalszym pochodzie w okolice *Mogilan, Bielan, Bronisławy* i Zwierzyńca czyni Staszic uwagę, że góry *Ojcowa i Czerny* łączyły się nieprzerwanym łańcuchem z wapiennemi górami wspomnionych miejsc i ze sławnym *Wawelem.*

Nieprzerwany ten ciąg gór po opadnieniu wód morskich porozrywała w różnych miejscach Wisła, szukając najniższego do swego spadku koryta.

Że teraźniejsze Wisły koryto jest udziałane rozerwaniem



Mamut.

wszędzie dzieci igrające gromady zdawają świadczyć, że w téj przyjemnéj dolinie szczęśliwymi być muszą i ludzie"

W środku zaś po brzegach owego bystrego *Promnika* widać potężne ostatki ogromu dawnéj opoki. Wznoszą się one to w kształcie piramidy, to w kształcie wąskiéj bryły mimo to nadstawiając się burzom i piorunom i mimo nie niewruszone stojące.

Tym cudom przyrody się przypatrując stawa osłupiony podróżnik zastanawiając się nad tem, jak mógł ten nikczemny ponik rozwalić i rozburzyć tak twardą i skupioną skałę!

Minąwszy zamek Ojcowa, wiedzie Staszic swe kroki ku niezmiernéj wielkości jaskiniom, z których jednej *Ciemnéj* a drugiéj Królewskiéj nadano miano, do obudwóch wnijście ledwo na bałuku wykonalne.

Jaskinie te składają się z całego szeregu ciemnych obszernych sal, na kilkadziesiąt stóp wszerz wdłuż i wzwyż, rozległych, łączących się jedne z drugiemi i spadającemi coraz głębiéj. Pomiędzy innemi rzadkościami napotykano tam stałego łączenia się z sobą wzmiankowanych gór, tego są dowodami jedność gatunku kamienia, zgodność warstw, zgodność tych warstw kierunku i pochyłu w obudwu brzegach; w opoce *Tyńca i Bielan,* w skałach Bronisławy, Zwierzyńca i w skałach Podgórza. A nawet widać tę samą gatunku jedność w *Skałce*, i w tem odosobnionem oberwisku, a dla Narodu Polskiego opoce pamięci świętéj! na której długo i szczęśliwie nasi najlepsi i najwięksi królowie mieli stolicę. I gdzie dotąd jeszcze Kazimierzów, Augustów, Sobieskich leżą piopioły... Szanujcie ich zwłoki, chcąc by kiedyś i wasze szanować." Jako nadzwyczajne osobliwości, które widział i podziwiał w podróży swej Staszic, wymienia róg *Amona* ogromny, jak koło do woza, do 2 stóp średnicy mający, który widział w okolicach Tęczyna.

W tychże opokach widział madrepory, zoofily, polipy.

W Podgórzu Bielawskich gór na pograniczu Moraw i Śląska wydobyto kości wielkie, całe Mamuty. Takowe są złożone w zbiorze naturalnym cesarskim w Wiedniu.

Przy ujściu Biały do Wisły odkryły wody potężny trzoniec mamuta,*) który mógł mieć do 18stu stóp wysokości.

Przy ujściu Nidy do Wisły napotykają ostatki nosorożców.

Słoniów lub mamutów szczątki znajdują pod Olkuszem, Dąbrową, w Mogile, nad rzeką *Śreniawą*.

(Ciąg dalszy nast.)

CZERWONA SALA

napisał J. G.

(Ciąg dalszy).

Kto w tej epoce mieszkał w Poznaniu, nie mógł nie zwrócić uwagi na osobistość, która już na pierwszy rzut oka wzbudzała w każdym niezwykły szacunek. Byłto mężczyzna jeszcze w sile wieku, okazałéj, wysokiéj postaci, chociaż się trzymał idąc jakby cokolwiek przygarbiony, któryto objaw napotyka się zwykle u ludzi pracujących czyto umysłowo, czy fizycznie z niezwykłą energią. Fizyognomia tej osobistości przedstawiała prawdziwy typ szlacheckiéj powagi i szlachetności żywota, a wąs i faworyty przypominały żywo żołnierza z r. 1831. Czoło gęsto poorane natężeniem myśli a brew cokolwiek ściągnięta uwydatniała, że ta myśl na chwilę nie spoczywa i bada sprawy poważne. Wyraziste oko, pełne ognia i siły skupiało w źrenicy to wszystko co wzniosłem nazywamy i co odróżnia niezwykłych ludzi nawet pośród najliczniejszéj rzeszy; byłto wzrok, jaki jest właściwy ludziom posiadającym wielkie zasoby cywilnéj odwagi.

Zato ubiór stanowił pewną sprzeczność; bo stał tylko w harmonii z powierzchownością niewiasty i jéj cór, które codziennie wychodziły z pałacu Działyńskich.

Gdy z bramy pałacowéj wyszła poważna osobistość jak np. zimą w wyblakłym fezie tureckim, umieszczonym niedbale na głowie, w lisiurze długiéj kapotowym krojem, a pokrytej zieloném suknem, na łokciach, na plecach i po bokach dobrze już wytartym, bo się wreszcie i łatki wstawionéj można było dopatrzeć, w szaraczkowych szarawarach starym wojskowym krojem i obuwiu, u którego znowu i obcas się prosił, aby go nadsztukować, gdyby kto się znajdował w pobliżu, dopatrzyłby się był również za każdym razem prawie, że oko jakby złowrogo się zatoczyło a usta konwulsyjnie zadrgały. Szlachetna ta postać nie mogła zapanować nad tym objawem grozy czy nienawiści, gdyż naprzeciw bramy stała niezwykłych kształtów budowa z herbami polskimi i armaturą na szczycie frontonu, a praed nią spostrzegłeś budkę malowaną na czarno i biało, na koźle bęben, dalej szereg karabinów poopieranych na stojakach, przed którymi przechadzał się tam i napowrót sołdat pruski nieznający nawet polskiego języka.

Byłto odwach jeszcze z czasów polskich, na który zaciągał niegdyś pułk Działyńskich, a osobistość o której mówimy — był to znakomity mąż naszego wieku — wielki patryota — mąż niepośledniéj wiedzy, żelaznego hartu ducha kość z kości przodków swoich — śp. Tytus hr. Działyński.

*) Przy téj sposobności podajemy na str. 269 szkielet Mamuta. Znaleziony został wpawdzie w Syberyi, ale nie jest i dla nas bez interesu, gdy i w naszym kraju podobne znajduje się kościenie tego olbrzymiego zwierzęcia.

Stary rynek poznański w tych czasach był jeszcze prawie w połowie zajęty przez obywateli polskich — poważnych kupców — reprezentantów firm, które od wieków i więcej chlubnie reprezentowały handel i przemysł polski.

Otóż gdy się tylko pokazała postać, która w każdem prawie sercu budziła cześć, kupcy i przemysłowcy wychodzili przed swe sklepy, dla złożenia hołdu temu, który całą siłą możności i zdrowéj rady nie tylko zagrzewał do pracy, ale niósł jéj pomoc radą i czynem.

Pałac Działyńskich był znany z tego, że tylko w ostateczności zamawiał i zakupywał potrzeby swoje u cudzoziemców, a takie zaufanie budził ten szlachetny ród, iż było nawet mniemanie i wiara, że kto z rana hr. Działyńskiego lub jego żonę spotka, to mu już to samo spotkanie szczęście przyniesie. Innego też to autoramentu była ta rodzina aniżeli zwykłe pojęcie o panach i magnatkach. Wytarta lisiura i perkalowa sukienka więcéj były czczone i nieomal ubóstwiane, aniżeli u innych sobole i brylantami świecące ordery.

Tak samo jak matronę w słomkowym kapeluszu i wełnianéj chustce spotykałeś po zaułkach: na Rybakach, Śródce tak samo znowu mógłeś bardzo często ujrzeć wytartą lisiurę i fez po rzemieślniczych warstatach, gdzie magnat polski wchodził w najmniejsze ich szczegóły, aby szukać środków, jak się da podnieść dobrobyt kraju. Nie wstydził się i nie uważał tego za ubliżenie klejnotowi szlacheckiemu, jeżeli ściskał rękę pracownika polskiego szorstką i twardą od młota, pilnika lub hebla. Co więcéj, znał się na tych rzeczach tak, iż panów majstrów i czeladź wprowadzał w niemałe zdumienie, zkąd téj nauki nabył, jakto potrzeba odkuć najtrudniejszą sztukę żelaza, lub inny materyał przerobić prawidłowo.

Przy ulicy Nowéj, która dopiero około roku 1840 powstała, przez co połączono Stary Rynek z Placem nazwanym przez Prusaków „Wilhelmowskim,“ mieściła się że tak powiem w Poznaniu natenczas główna reprezentacya mrówczéj polskiéj pracy umysłowéj i przemysłowo-handlowéj. Za podnietą również wielkiego patryoty śp. Dra. Karola Marcinkowskiego, znakomitego lekarza, który popularność swą i wzięcie zużytkował jedynie dla podniesienia dobra kraju i rozbudzenia ducha prawdziwego patryotyzmu, zbudowała szlachta wielkopolska wraz obywatelami miejskimi akcyjnym funduszem jak na Poznań olbrzymi gmach nazwany „Bazarem“, mieszczącym w sobie hotel, reprezentacyę handlu i przemysłu polskiego czyli kasyno. Na ulicy tej z wyjątkiem kilku sklepów żydowskich mieściły się głównie handle polskie prowadzone przez ludzi, którzy nietylko miły grosz mieli na celu. Po lewéj stronie od rynku był stary dom dosyć pochylony obok cerkwi greckiéj, któréj mała parafia składająca się zaledwie z kilkunastu rodzin, stała w pierwszym szeregu wielkopolskich patryotów. Głową téj gromadki wyznianowej był Jan Konstanty Żupański.

W Poznaniu do r. 1840 była tylko jedna księgarnia polska Reiznera niegrzesząca bynajmniéj postępem z duchem czasu, gdyż była ostatnim typem raczéj kramarstwa odpustowo-księgarskiego.

W tym starym domu przy ulicy Nowéj Jan Konstanty Żupański, serdeczny druh Dra. Marcinkowskiego, Libelta, Seweryna Mielżyńskiego i innych otworzył pierwszą księgarnię podług wymogów czasu, a po nim powstały księgarnie Walentego Stefańskiego i Spółki, Jędrzeja Moraczewskiego i Jana Nepomucena Kamińskiego.

W peryodzie tym księgarnia Żupańskiego umieszczona w niskim niepozornym lokalu, bez wszelkiej ostentacyi była tym Żniczem, który nietylko na księstwo poznańskie, ale na cały obszar Ziem polskich wywierał czarodziejski wpływ odrodzenia ducha i wiedzy. Gdyby istniała kronika pierwszych lat istnienia téj księgarni byłaby nieocenioną wskazówką dla dziejopisa.

Przechodzień przez ulicę „Nową", mógł prawie codziennie widzieć tam grono kilku mężów opierających się o stół księgarski lub siedzących na pakach jeszcze nie wysłanych lub nie rozłożonych na półkach książek, zajętych poważną rozmową a raz po raz zaogniało się oko i ręka dokończała energicznym gestem dysputy.

Kto z powag wielkopolskich lub innych części ziemi naszej przybył do Poznania, dążył przedewszystkiém do księgarni Żupańskiego.

Otóż jakby to wczoraj dopiero się działo, widzimy jeszcze dziś, po latach blisko czterdziestu, i naszego hr. Tytusa w fezie i lisiurze siedzącego na pace, a obok niego opierającego brodę na lasce szczupłego męża ubranego w skromną czamarę Dr. Karola, dalej o stół opartego drugiego Karola Libelta, Żupańskiego, Moraczewskiego, dzielnego reprezentanta Kalwinów Wielkopolskich, Gustawa Potworowskiego, to znowu hr. Edwarda Raczyńskiego, niezmordowanego zbieracza klejnotów wiedzy polskiéj i wielu innych, jak tam poruszali najżywotniejsze sprawy polskiéj pracy. Gdy młodzi i starzy przechodzili lub wstępowali po książki, wstępowała w nich jakaś błoga otucha a na mężów zebranych w tym skromnym przybytku patrzyli z taką czcią, jakby na świętości w relikwiarzu. O, bo to byli i inni ludzie, — i inną posiadający moc do zapalania pochodni przyszłości. Jakby z granitu wykuci z niepokalanym i niczem niezaćmionym dogmatem wiary ojców siali zbawienny plon po polskich niwach. Swoi wierzyli w nich i na skinienie byli im posłuszni. Wróg naturalnie nienawidził ich i drżał przed nimi; ale pomimo tego musiał w duchu uginać przed nimi czoła i bezwarunkowo liczyć się z nimi.

Ale wróćmy do naszéj „Czerwonéj Sali", gdyż nas tam prowadzi otwierając gościnne podwoje i serce gospodarz po jednéj z wyż wymienionych pogawędek z księgarni Żupańskiego.

Dla gości swych przygotował bowiem niezwykłą ucztę, która jakby eliksir żywota dodawała sił i pobudzała do czynu Śp. Jędrzéj Moraczewski rozpoczął cały szereg odczytów „O dziejach Polski", a niedługo poszedł za nim Libelt wypędzając ze świątyni Polskiéj zarazem Heglów i rozwijając natomiast cały sbarbiec klejnotów, najkosztowniejszych pereł i dyamentów, uczył myśleć po polsku, kochać sztukę i piękno, te najjaśniejsze promienie słoneczne na drodze żywota.

Nauka przyrody była wtenczas w kolebce, uważana po większéj części za naukę suchą, a przystępna tylko wybranym jednostkom, na które jeszcze patrzano jakby na tradycyjnych alchemików i czarnoksiężników. Otóż w hufcu obozującym po r. 1830 na Wielkopolskiéj ziemi był żołnierz a towarzysz Libelta; obaj tak gracko experymentowali warunki praw fizycznych i chemicznéj składni na polach Grochowa, Ostrołęki i innych laboratoryach akademickich, szczególniéj zamieniając teoryę w praktykę o ballistyce, która tak bezwzględne szczerby tworzyła w szeregach Dybicza. Żołnierzem tym artylerzystą był Dr. medycyny Teofil Matecki, i on pierwszy rozpoczął dział przyrodniczy z eksperymentalnéj fizyki i chemii. Nastąpiło potem danie z literatury, które podawał łaknącym naówczas wiele obiecujący wieszcz w ziemi Piastów, piewca „Bogunki" — Ryszard Berwiński. (Niestety zwichnął żywot i zmarnował, zaprzepaścił promień jakim go Bóg tak szczerze obdarzył).

Kto się tylko poczuwał do wzmocnienia sił moralnych, dążył do „Czerwonéj Sali." Płeć męska i piękna, szły na wyścigi. Jakby po długiéj nocy wschodziła jutrzenka nadziei lepszéj doli.

Zdaje się iż się nie mylimy, że z „Czerwonéj Sali" można datować początek epoki szerzenia światła za pomocą odczytów.

(Ciąg dalszy nast.)

PODAREK.

Zosiuleńko — życie moje
Moja ty żałobo!
Szumią lasy — płyną zdroje,
Bije młotem serce moje —
Za tobą — za tobą. —

Tyś mi gwiazdką, moje złoto —
Wciąż patrzę na ciebie,
A gdym z tobą — mniejsza o to
Co tam ludzie o nas plotą,
Bom ja w siódmém niebie.

Może kwiatków chcesz kochanie,
Może ptasząt z boru?
Kwiatków narwę — moc na łanie
A ptaszęcia wszak dostanie
Na szczycie jaworu.

Może ci źródlanéj wody
Trzeba kropel kilka?
Mów — pobiegnę przez ogrody
I z wietrzykiem w korowody
Wrócę — jedna chwilka. —

Boś ty dziwna — wszak nic złego
Posłać mię w potrzebie.
Spuszczasz oczki — nic dziś z tego;
Sam pobiegnę — coś ładnego
Przyniosę dla ciebie. —

Pobiegł Janek, Zosia czeka —
Dumką chwile skraca;
Spojrzy drogą i narzeka,
Że bez niego czas ucieka —
Ah! przecież powraca. —

Snać zawiodły przedsięwzięcia,
Los mu dziś nie służy;
Nie ma w ręku ni ptaszęcia,
Ani kwiatów do upięcia —
Tylko papier duży.

Przybiegł — stanął i nadzieją
Oczy mu zabłysły;
Wziął za rączkę — ręce grzeją,
W sercu Zosi radość sieją
I dobre domysły.

„Zgadnij Zosiu co przynoszę,
Rzecz to niespodziana."
„Więc nie zgadnę." — „Czytaj proszę."
Rzuci okiem. — Ah rozkosze —
Indult od Plebana. —

Paryż, 26 grudnia 1869.

ZAPISKI
E. Calliera.
V.

Błociszewscy, herbu Ostoja.

Niedokładna wiadomość o Błociszewskich, podana w herbarzu Niesieckiego, powoduje mnie do poświęcenia im słów kilku.

Nazwisko swe wzięli od Błociszewa, wsi dziedzicznéj, położonej w województwie Poznańskiem, na zachód Śremu, w której Jan i Mikołaj, Kasztelan Nakielski, wystawili r. 1408 kościół parochialny za zezwoleniem Wojciecha Jastrzębca, biskupa Poznańskiego.[1])

Ci dwaj bracia uchodzić mogą za znanych dotąd protoplastów rodzin Błociszewskich i Gajewskich herbu Ostoja. Z jednego bowiem z nich poszli Gajewscy, tak zwani od Gaju lub Gajewa, wsi należącej do majętności Błociszewskiej; — wynikło też ztąd, że Gajewscy pisali się z Błociszewa, a Błociszewscy z Gajewa.

Mikołaj, Kasztelan Nakielski, występuje pod r. 1411 jako kasztelan Sanocki i poseł do ratyfikacyi paktów, zawartych między Władysławem Jagiełłą i Zygmuntem, królem Węgierskim.[2]) — Podpisał się wprawdzie *Nicolaus* de Błociszków; o tożsamości przecież wątpić nie można, ponieważ drugiego Błociszewa, lub Błociszkowa, Błościszewa, nie znajdziesz w granicach naszej Rzeczypospolitej, z czasów nawet gdy one sięgały od morza do morza. —

Błociszewski Jan z Gajewa, sędzia ziemski Poznański, posłował do Węgier od Zygmunta III; podczas rokoszu Zebrzydowskiego stał po stronie Króla; poległ w boju podczas wyprawy Moskiewskiej, w r. 1611. — Za Niesieckim podają tę wiadomość Siarczyński, Stupnicki, Dykcyonarz Biograficzny i Encyklopedya Powszechna.

Ta wykazuje nawet drugiego jeszcze Błociszewskiego pod imieniem Wacława, tak podobnego do Jana, że sądzić wypada, iż z jednego dwóch stworzyła Błociszewskich.

„Błociszewski Wacław, mówi wspomniane dzieło, sędzia ziemski Poznański, po wstąpieniu na tron Zygmunta III, jeździł w poselstwie do Węgier. W czasie rokoszu Zebrzydowskiego utrzymał na stronie Króla województwa Wielkopolskie. Na wojnę, która się wkrótce potem, po zabiciu Dymitra Samozwańca, zaczęła w Moskwie, z znacznym kosztem poprowadził oddział wojska, i poległ w jednej z rozpraw.“ —

Błociszewski Jan, sędzia ziemski Poznański, był Ojcem starosty Ujskiego, którego imienia Niesiecki nie zna. —

Błociszewski Adam, urodzony ok. r. 1598, zmarły r. 1651 dnia 13 kwietnia, pochowany jest w swej wsi dziedzicznej, w kościele której znajduje się portret jego z napisem następującym:

Widzisz obraz lubo to człowieka zmarłego,
W cnotach jednak i sławie zawsze żyjącego,
Adam Błociszewski w tym odpoczywa grobie.
Czytelniku módl się zań, by z Bogiem żył w niebie.[3]) —

Franciszek, Jezuita, był rektorem kolegium Krosieńskiego i Sandomierskiego.

Tadeusz, generał — major wojsk Koronnych, orderu Św. Stanisława kawaler i poseł Łęczycki podczas sejmu czteroletniego, wyznaczony był w r. 1789 do komisji podatkowej powiatu Orłowskiego, a w r. 1791 przystąpił do Konfederacyi Generalnej.[4])

* * *

Błociszewski Stanisław, syn Mateusza i Barbary z Pruskich urodził się w Rogowie r. 1804 dnia 8 maja. —

Po odbyciu jednorocznej służby w wojsku Pruskim, został w r. 1826 oficerem t. z. obrony krajowej.[5])

Zaraz po wybuchu rewolucji Listopadowej odebrał rozkaz stawienia się do swego pułku z 80 końmi, jakie dostarczone być miały z powiatu.

Korzystając z przywdzianego munduru i z przepisanej marszruty, dotarł do generała Umińskiego, uwięzionego od lat kilku na fortecy w Głogowie, i wręczywszy mu listy, jakie niósł ze sobą, przyczynił się do szczęśliwej ucieczki jego.

W dniu 17 lutego 1832 r. uszedł Umiński z wspomnianej fortecy; Błociszewski czekał na niego w Kaliszu i razem stanęli w dniu 22 t. m. w Warszawie, gdzie generała przyjmowano z uniesieniem.

[1]) Łukaszewicz, Kr. op. hist. kość. par. II, 194. [2]) Encyklop. Powsze. Krasicki. [3]) Łukaszewicz. [4]) Konstytucye. [5]) Mskrpt.

Spotkawszy tu znajomych swoich z województwa Poznańskiego, zwłaszcza trzech braci Mielżyńskich: Macieja, Seweryna i Ignacego, przedstawiony był Błociszewski pułkownikowi Brzeżańskiemu, dowódzcy ułanów Poznańskich. Nazajutrz zmienił mundur. Wykomenderowany następnie wraz z Ostrowskim do zakupienia koni i rekwizytow wojskowych, pełnił obowiązki te aż do bitwy Grochowskiej.

Wcielony do 2 pułku Ułanów, pod dowództwem Michała Mycielskiego, czynny brał udział w stoczonych bitwach.

Pod Domanicą rozbiły cztery szwadrony pułku tego dwanaście szwadronów Moskiewskich; w bitwie pod Ostrołęką stracił pułk około 130 ułanów i 11 oficerów. Mycielski ranny, wróciwszy z niedobitkami swymi do Warszawy, został w lipcu generałem.

Błociszewski odznaczywszy się chlubnie w tych krwawych zapasach, ozdobiony był krzyżem złotym i wymieniony w rozkazach dziennych.

Po stoczonej pod Borowem bitwie nastąpiło rozbrojenie wojska naszego w obec Austryjaków, w niewoli których znajdował się blisko rok nasz młody bohater.

Wróciwszy wreszcie do Poznania wraz z Wojciechem Lipskim, przedstawili się obadwaj dowodzącemu korpusem generałowi Röder, który ich odprowadzić kazał do więzienia. Po upływie kilku miesięcy nadszedł wyrok, skazujący ich na powieszenie *in effigiem*.

W środek ustawionego w czworobok pułku wprowadzono obudwóch i odczytano im wyrok, skazujący ich na dwadzieścia lat więzienia, konfiskaty majątków, utraty szlachectwa, pruskiej kokardy i stopnia oficerskiego. Czytanie wyroku tego trwało podobno od 7méj z rana do 3ciej po południu. Drugi wyrok króla pruskiego łagodzący wyrok barbarzyński dywizyi, skazywał ich na półtora roku więzienia, powracał szlachectwo i oddawał majątki.

Po odczytaniu wreszcie obudwóch wyroków zaprowadzono skazańców pod szubienicę, na której przyczepione były ich portrety. Tu odczytano po raz wtóry wyrok królewski Oprawca zdjął portrety i podeptał je; chorągwiami wywijano ponad głowami skazańców i odprowadzono ich, po tej ceremonji, na plac działowy.

Tu odczytano po raz trzeci wyrok króla pruskiego w obec generała Rödera, który wypowiedziawszy zdanie swoje, że aczkolwiek sprawa, za którą walczyli, zaszczyt im przynosi, prawa wojskowe przecież wykonane być muszą, — podał im kolejno dłoń i, w mniemaniu swojem, wracał im utracony na chwilę honor.

Błociszewski udał się do Głogowa i odsiedział wymierzoną karę.

Rok 1846 powołując go znów do czynu, wprowadził go do więzienia, z którego rok 1848 go uwolnił.

I do więzienia wtrącił go rok 1863.

Tak pędził żywot swój polityczny szanowany powszechnie współobywatel nasz, p. Stanisław Błociszewski, i da Bóg żyć będzie jeszcze wśród nas długie lata i służyć aż do grobowéj deski Ojczyznie, której godnym z wszech miar okazał się synem.

* * *

Nieznanego mi bliżej Stanisława Błociszewskiego wykazuje Lubliner w spisie konfiskat rządowych za panowania Mikołaja.

* * *

Stanisław Błociszewski, syn Antoniego z Przecławia, poległ pod Ignacewem w r. 1863, i Sylwester, syn Stanisława, powstaniec z tegoż roku, zmarł w r. 1875.[1])

* * *

Kaźmirz Błociszewski, oskarzony o tak zwaną „zbrodnię kraju“ stawał przed sądem Berlińskim w r. 1846 i tegoż imienia spotykam autora Historyi powszechnej, streszczonej z dzieł Niebuhra, wydanej w Poznaniu r. 1850—3.

* * *

Mylnie zwie Błociszewskich naszych Złociszewskimi herbarz Okolskiego.

[1]) ob. Żychlińskiego Kronikę żałobną.

Treść 34 nr. „Lecha“: Zamek Wilczki przez Zygmunta Krasińskiego. Skutki wojny wschodniéj, szczególniéj jak się przedstawiają ze względu na Słowiańszczyznę. (C. d.) Staszic w pochodach swoich po górach Karpackich (z ryciną mamuta). Czerwona sala w pałacu Działyńskich. Podarek (wiersz). Zapiski Calliera. (O Błociszewskich i Gajewskich).

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.